

HARCERZ



TYGODNIK MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ.

Rok III.

24 Stycznia 1919 r.

Nr. 4.

Cena 85 fen.

*Czuwaj Strażnico! W ludzkości pochodzie,
Duchy młodzieńcze niech idą na przodzie.*
(Marja Konopnicka).

*Kiedy na waszej widzę twarzy
Spojrzenie twarde nieugięte
Wyrazem woli usta ścięte
I zapal co się w ustach żarzy*

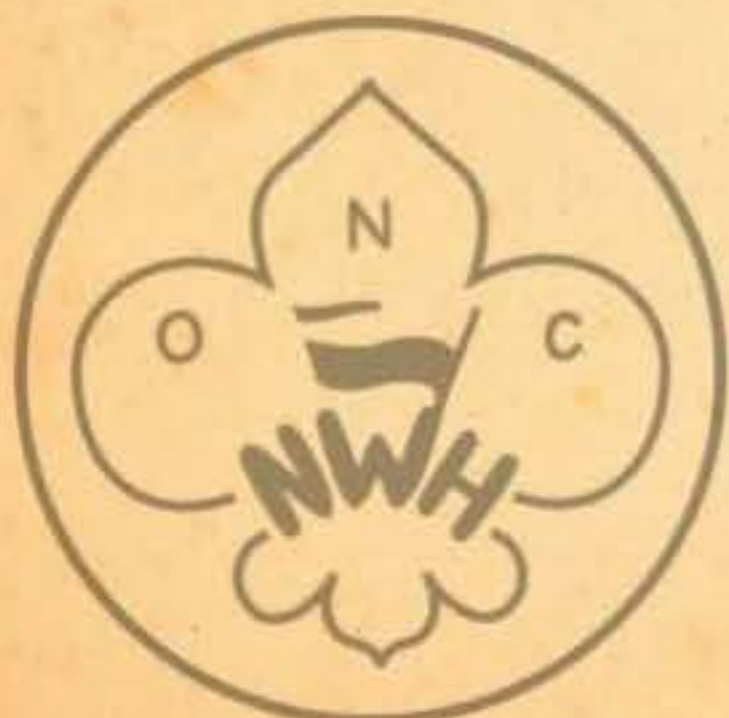
*To mi się coś po głowie marzy
Że w czyn się iszczą słowa one
Przez wieszczów naszych wyrzeczone
Pośród walących się ołtarzy*

*Że na tę naszą „Polskę ziemię“
Ogromem tylu klęsk wękana
Przychodzi „nowych ludzi plemię“
Że „takich jeszcze nie widziano“—*

*Leccie wy młode orły moje
Ku cudnym zorzom z gwiazd tęskniące
Leccie wy Prawda—Dobra gońce
Na życia twarde trudy znoje*

K.

oooooooo



archiwum

M 9

KROK JEDEN.

Najtrudniejszymi częściami każdej pracy są początek, środek i koniec. Wszystkie inne części przedtem i potem są dużo łatwiejsze. Wiecie jak się zwykle wszelką pracę robi?

To bardzo łatwo. Naprzód się dużo myśli — nie obawiajcie się — jest to zupełnie nieszkodliwe, nawet dla najsłabszych głów, czasem tylko dla dodania sobie otuchy, drapie się przytem po głowie, lub wykonywa inne drobne rękoczyny. Potem się dużo mówi, a mało robi — to jest już nietylko bezpieczne, ale nawet bardzo przyjemne. Można powiedzieć że wielu wprost przepada za tego rodzaju zajęciem i oddaje się mu z zapalem.

A potem — potem różnie bywa, zdarza się, naprz., że się pomysł zarzuca i przechodzi do nowego, ale jeśli się zdarzy że pomysł zaczyna się przekształcać w czyn, wtedy sprawa staje się poważniejszą, a więc zacznijmy z innego tonu.

Warunkiem pierwszym wykonania czynności jest organizacja pracy — należy sobie odrazu w głowie ułożyć w jaki sposób ma być przeprowadzone działanie; co się zrobi wprzód, a co potem.

Są ludzie którzy mają pomysły świetne w dużej wprost niewyczerpanej ilości, ale nie mają daru rozkładania prac na początkowe i następne i nie wiedzą z którego końca się do nich zabierać, zaczynają budować dom od dachu. Znałem zdolnego inżyniera który wybudował centralną pralnię elektryczną, ale że plan kreślił w lecie więc nie pomyślał o zrobieniu ogrzewania i w zimie trzeba było nagwałt wstawiać żelazne piecyki z rurami puszczanymi przez okno.

My, harcerze, coprawda domów nie budujemy (całe szczęście dla nas, dla domów i dla ich mieszkańców) najwyżej namioty lub szalasy, a te już zrobić potrafimy zupełnie dobrze, ale często przystępując do jakiegoś dzieła moglibyśmy sobie przypomnieć zasadę Szereckiego Holmesa, który na miejscu zbrodni czy przestępstwa, wyobrażał sobie scenę jaką się tu odbyła, i przechodził ją w myśli, odtwarzając w pamięci każdy ruch, krok i wypowiedziane słowo. Tą niezawodną metodą którą w stosunku do czynów przeszłych używał Holmes, równie dobrze możemy użytkować do czynów przyszłych, zamierzonych. To nas uchroni od zapomnienia, zabrania z sobą mydła lub zapalek na wycieczkę, podręcznika na zbiórke.

Wiele, bardzo wiele słuszności zawiera zdanie głoszące że: „nim przejdiesz sto wiorst musisz naprzód wykonać krok jeden“. Tym krokiem może być oddanie butów do naprawy przed podróżą, lub kupienie papieru przed napisaniem kilkutomowego dzieła — rzecz więc bardzo drobna i błaża... ale po-

siadająca tę właściwość, że bez niej jako bez pierwszego kroku nie można zrobić dalszych stu wiorst.

Harcerz więc rozwija w sobie zdolność przewidywania, zdolność dzielenia czynności na pierwsze i następne i zdecydowanie w wyborze i postawieniu pierwszego kroku.

Będąc niewielkim chłopcem odznaczałem się ogromną nieśmiałością, którą stopniowo przełamawem w sobie. Nie pamiętam dobrze w której klasie miałem następujące zmartwienie. Na początku kwartału oberwałem dwójkę z przedmiotu dobrze mi znanego, a następie nauczyciel zachorował i długi czas nie zjawiał się do szkoły. Zbliżał się koniec roku i w wyniku dwójka mogłaby mi zostać jako stopień roczny. Wiedząc iż nauczyciel jest o tyle zdrowszym że pracuje w domu, tylko nie może wychodzić na ulicę, po kilku dniach walki z sobą i odkładania z dnia na dzień, zdobyłem się na odwagę pójścia doń do mieszkania z prośbą o danie mi możliwości poprawienia się. Niestety wyszedłem na 2-gie piętro, postawem kilka minut pod drzwiami, popatrzyłem na biały guzik elektrycznego dzwonka, pomyślałem o wielu rzeczach dalekich i bliskich... zeszedłem na dół z powrotem i wybiegłem na ulicę.

Tu jednak zatrzymałem się znów nawymyślałem sobie w duchu, zawróciłem się wrost przemocą na górę i odrazu zadzwoniłem. Zaraz potem miałem wielką chęć uciec — ale było za późno. Otworzono mi i za chwilę rozmawiałem z nauczycielem, który był bardzo zadowolony z mego przybycia, powiedział że sam był w kłopotcie niewiedząc co zemną zrobić, ale wreszcie, znając mnie, zdecydował bez odpowiedzi dać mi dobry stopień. Pytał się o szkołę, o klasę, o kolegów i wreszcie mnie puścił. Z wielką radością szedłem do domu, po raz pierwszy od kilku tygodni z lekkim sercem.

Zdaje się rzecz mała; naciśnięcie guzika już po zdecydowaniu się, po wyjściu z domu i przybyciu na 2-gie piętro — a jednak ta rzecz była pierwszym krokiem do czynu naprawdę. Bo obmyślenie czynu, powzięcie postanowienia, udanie się w celu zrobienia czegoś to tylko wstępne przygotowanie: pierwszy krok zaczyna się tam gdzie już nie można uciec — bo jest zapóźno.

Jestto jakby wchodzenie na nartach na górę i dojście do zasadniczego punktu. Jeśli się niema śmiałości pojechać naprzód, można zjechać z powrotem. Zdecydowanie w takiej chwili to więcej niż zaleta, to potrzeba i warunek powodzenia w życiu.

Jak jaskrawie występuje to w chwili kiedy całe środowisko ma zamiar coś zrobić, ale przed wykonaniem pierwszego kroku przeżywa chwilę wahania się, chwilę oglądania się jeden na drugiego. W takiej chwili musi się znaleźć jeden zdecydowany człowiek, który przez swe wystąpienie da innym przykład.

Dziś na ulicy widziałem jak dziewczynce wy-

padła z rąk torba i niesione w niej kartofle rozsypały się po chodniku. Kilkunastu przechodzących chłopców zatrzymało się odrazu: widać było, że u wszystkich powstała jedna myśl, jeden zamiar. Niemniej wszyscy się wahali i kto wie możeby przeszli po chwili namysłu, ale harcerz z naszej drużyny schylił się i podniósł pierwszego ziemniaka. Za chwilę wszystkie znalazły się w torbie. Chłopiec który się pierwszy schylił zrobił to tak prosto, bez cienia namysłu, ot jak się podnosi upuszczoną własną łaskę.

Jeżeli dalej idąc przeniesiemy wziętą z tego małego przykładu myśl zasadniczą na jaki wielki czyn społeczny, zrozumiemy jak wielką zasługę będzie miał ten, kto pierwszy ujmie pracę.

Musi on mieć jednak charakter wyrobiony w kierunku decydowania się na „krok jeden“. Jeżeli Harcerstwo wychowa zastępy ludzi tak wyrobionych — spełni swe zadanie wzmocnienia narodu i nadania mu tężyzny i mocy.

A. P.



WYCIECZKA NA IMATRE.

O godzinie 8-iej rano odchodził statek „Imatra II“ z Wilmanstrandu do Vuoksenniska. Nasza paczka harcerska, złożona aż z 23 niewiast, z właściwym sobie humorem rozlokowała się na przedniej części pokładu, wywołując wśród publiczności, nawykłej do wszelkiego rodzaju turystów i podróżników, pewne zainteresowanie i zdziwienie.

Parowiec posuwał się wolno raz poraz wymijając podwodne rafy i mielizny. Jezioro Sajma pomimo swojej olbrzymiej wielkości (ciągnie się mniej więcej na przestrzeni 300 klm.) nie robi tego wrażenia bezbrzeżnej toni wodnej jak, naprz., Ładoga lub Onega. Cały szereg wysepek większych i mniejszych dzieli i rozбивa je na części, tak, że czasem trudno jest orzec czy mamy się przed sobą jeden basen wodny, czy też szereg drobnych jezior połączonych wązkimi kanałami. Niektóre z tych wysepek są skonstruowane z jednego odłamu skały granitowej, gładziutko zaokrąglonej przez cofające się lodowce. Na takim kamieniu, zlekka przypruszonym glebą, może rosnać jedynie tylko sosna (Pinus silvestris), której korzenie jak powój ciągną się na powierzchni skały i, oplatając ją mocnym pierścieniem, utrzymują drzewo w pozycji równoważnej.

Gdy jednostajność krajobrazu zaczęła nas tro-

chę nużyć, uprzyjemnialiśmy sobie czas śpiewami, komponując na poczekaniu nowe zwrotki piosenek. Tak, naprz., na nutę „O Neapolu cudowny kraju“ śpiewało się: „O Sajmo moja, cudowna wodo, płyn po niej dalej drużyno młodo“ i t. d. i t. d. Wreszcie po sześciogodzinnej drodze parowiec wydał przeraźliwy gwizd i kapitan z bródką i srebrnym paskiem wkoło czapki zawołał: „Vuoksenniska, Imatralta!“

Na statku rozpoczął się ruch: publiczność pospiesznie ładowała rzeczy, aby się jaknajprędzej dostać do czekającego na przystani pociągu, my zaś pozwoiliwszy przejść pierwszej fali, złożyliśmy plecaki i rozejrzawszy się na mapie co do najbliższej drogi na Imatrę, ruszyliśmy zwolna przed siebie. Słońce prażyło porządnie, a myśl o obiedzie, który nas oczekiwał dopiero po odbyciu 7-mio kilometrowego marszu, nie pozwalała nam przyjść do równowagi. Śpiewaliśmy sobie: „O ty Imatro, o wodospadzie, wnet cię ujrzemy w całej paradzie. Niech woda twoja szumi i szumi i apetyty nasze przytłumi“; — na nieszczęście niewiele to pomagał!

Szliśmy w szyku ubezpieczonym, na przodzie mając „oko“, które przy pomocy mapy i czerpanych od miejscowej ludności informacji prowadziło nas do „ziemi obiecanej“, (na obiad!).

W miarę jak zbliżaliśmy się do Imatry, coraz wyraźniej słychać było szum wodospadu. Przypominało to trochę młyn, a trochę piekło Dantego i huk obracanych przez grzeszników olbrzymich kamieni. Droga nasza biegła ciągle brzegiem Wuoksy, więc mogłyśmy obserwować cały szereg drobnych wodospadów, które są jakgdyby przedsmakiem tego wspaniałego widoku, który nas oczekiwał na właściwej Imatrze.

Masa wodna, z całego szeregu dopływów, idących z północy, zbiera się w jeziorze Sajmeńskim posuwa się na południe, i torując sobie drogę przez ujście Wuoksy, rozszerza jej koryto do 115 m. szerokości, poczem o siedm klm. od jeziora, zwęza się gwałtownie do 18 m. i ściśnięta w wązkie ramy granitowych brzegów, przy szalonym pędzie, kłębi się, wzdyma, obrywa skały, szarpie swe koryto, chce się wyrwać z krępujących ją więzów i tworzy wspaniałą, majestatyczny wodospad.

Coś dziwnie przyciągającego ma w sobie ten widok: przez chwilę zapomina się o wszystkim i powstaje tylko jedna niczem niepowstrzymana chęć wskoczenia do tej wzburzonej wody i spróbowania jej szalonej siły na sobie. Długą chwilę stałyśmy zapałone w spieniony, buchający nurt wodnego odętu. Szum wody nie pozwalał na porozumienie się przy pomocy słów, tylko głód robił swoje, więc po pewnym czasie odeszliśmy do miasta.

Cała nasza kompanja zatrzymała się w hotelu, specjalnie przygotowanym dla większych turystycznych wycieczek. Czasy konspiracyjne nie pozwoliły

nam nawet w Finlandji wystąpić jako organizacja harcerska, więc z konieczności musiałyśmy udawać pensję. Najgorzej było z tem kogo wybrać na przełożoną? Żadna z nas nie wzbudzała dostatecznego zaufania i tylko dwie były tak szczęśliwe, że skończyły lat 18-cie i posiadały własne pasporty. Wobec czego, ubrawszy jedną z nich w szaty najbardziej wyszukane wśród naszej garderoby wycieczkowej, wyprawiłyśmy ją do gospodarza dla zatwierdzenia formalności meldunkowych. Wielka czerwona kokarda, granatowy żakiecik, długi niebieski szal zarzucony na słomianym kapeluszu i tak zwane „redicule“ o tyle podniosły powagę „naszej przełożonej“, że wszelkie wątpliwości ze strony właściciela hotelu zostały z góry zażegnane. Sądząc, że najtroskliwsza matka, na-

wet jedynej jedynaczki nie zawahałaby się oddać pod opiekę tak znacznej matrony!

Po ukończeniu swojej misji „pani przełożona“ „poleciała“ na podwórko, gdzie oczekiwały ją posłuszne uczennice i w lekkich podskokach, pociągana za różne części garderoby przez otaczające ją młode grono, opowiadała o swoich przygodach w hotelu.

Biedny fin, obserwując nas z okna willi dochodził zapewne do przekonania, że to jakaś bardzo nowoczesna pensja, na której panuje taka zgoda i harmonja oraz jednorodność w upodobaniach pomiędzy kierowniczką a uczennicami!

Celem naszej wycieczki były nie ćwiczenia harcerskie, lecz zapoznanie się z różnymi ciekawymi



Zastęp „gwardji“ (3-ci 1. Piotrogrodzkiej D. H.).

zakątkami Finlandji, więc też koniec dnia spędziłyśmy na zwiedzaniu bliższych okolic oraz obserwowaniu wielkiej Imatry, na co nam nigdy nie zbywało ochoty. Wreszcie wieczorem nasza „główna kwatery“ zdecydowała, że wszystkie jutro rano odjadą pociągiem do obozu, a zaś tak zwana „gwardja“ dziś jeszcze forsownym marszem wyruszy do Wybarga. Radość wśród gwardji zapanowała straszna! Wszystko to było jeszcze młode, ale pełne zapału i humoru, nawykłe do trudów harcerskich i nie jedną już tradycję wycieczkową posiadające za sobą.

O godz. 10-tej ogłoszono odmarsz i gwardja żegnana długotrwałymi okrzykami ze śpiewem i brawurą wyruszyła w drogę, obiecując sobie jeszcze wstąpić do Wallinkoski, czyli na tak zwaną małą Imatrę.

Ta ostatnia, pomimo że nie posiada tak imponujących rozmiarów, zachwyca swoją nieokiełznaną dzikością. Ma ona więcej w sobie poezji i więcej swobody nieskrępowanej kulturalnymi udogodnieniami dla podróżującej publiczności.

Pozatem w drodze zatrzymywałyśmy się rzadko, przeciętnie co jakieś 15--20 klm., najczęściej gdzieś koło chałupy włościańskiej, dla wypicia mleka lub w bliskości wody, dla ochłodzenia zmęczonych nóg.

Podróż trwała niemal dwa dni i dwie noce. Maszerowałyśmy przeważnie nocą, spałyśmy w dzień, czasem na sianie, zakradając się chylkiem do odryny lub korzystając z gościnności fińskich włościan, a czasem na szczycie skały na miękkim podłożu z mchu, rozgrzanem słonecznymi promieniami. To

uczucie, że się jest bez dachu nad głową, wolnym jak ptak niebieski, niezmiernie dużo uroku dodawało naszej wycieczce.

Bez żadnych większych przygód dotarliśmy do Achwała, gdzie już nas dzieliło tylko 7 klm. od celu naszej podróży. Najgorszym był jednak ten ostatni kawalek. Upał dokuczał straszliwie, a nogi zupełnie odmawiały posłuszeństwa. Raz wraz siadałyśmy przy drodze, oberwane przypominające wygnańców, pogorzalców, czy też resztkę rozproszonej bandy cygańskiej. Jakiś dziki humor nas ogarnął: śmiałyśmy się ze wszystkiego i wyrwałyśmy sobie wzajemnie resztki zeschniętej skórki chlebowej. Przechodnie, których pod miastem coraz więcej się spotykało, długo, oglądali się za nami, ten się tylko nie obejrzał, komu się widocznie bardzo spieszyło.

O godzinie 12-iej z minutami stanęłyśmy w Wybörgu — zrobiwszy w 39 godzin 98 kilm. marszu — nieźle — byłyśmy zadowolone z siebie. Ale gdyby w tej chwili za zrobienie jeszcze jednego kilometra obiecano nam złote góry, nie wiem czy byśmy się zdobyły na tyle bohaterstwa aby po nie sięgnąć. Pomimo naszej całej powagi posiadałyśmy na wysokim chodniku z nogami spuszczone na ulicę, lub zajmując inne dogodne pozycje.

Najbardziej oplakany był stan butów, gdyż podeszwy i obasy kategorycznie wypowiedziały się za samodzielnością, i oderwaniem od butów, pończochy były zaopatrzone w obfitą wentylację, stanowczo przewyższającą wszelkie wymagania higieniczne, a szare bluzy harcerok najbardziej przypominały barwę ziemi. Po chwilowych wahaniach zdecydowałyśmy że trzeba jednak zjeść obiad.

W parę godzin potem jechaliśmy pociągiem do Perkijärvi aby tam po zrobieniu piechoty jeszcze 14 kl. dostać się do naszego obozu harcerskiego. Siedząc wygodnie na ławkach z przyjemnością mówiliśmy o trudach odbytego marszu, który jednak wydawał się nam uroczym. Wszystkie jednogłośnie przyszłyśmy do wniosku, że gdyby nie myśl o obiedzie to zapewne długobyśmy jeszcze siedziały na chodniku Wybörgskim.

Z miną zwycięskiej starej gwardji przywykłej do wszelkich tryumfów wkraczałyśmy do obozu witane przez zazdroszczące nam szczerze i po harcersku, druhny ze zwykłych śmiertelnych zastępów.

W. R.

oooooooo

COŚ WAM POWIEM.

(Dokończenie).

Szczęście całe, że ruchliwość wydawnicza harcerzy Rosji i na Rusi idzie na karb całego ruchu harcerskiego i że dorobek części stanowić jednocze-

śnie własność całości będzie, drugą zaś okolicznością łagodzącą: że autorzy to przeważnie właśnie owa nasza „stara gwardja“ zahartowana, ostrzelana, obita na wszystkie boki, i biorąca się do roboty zawsze z tym samym zapalem, bez względu na to, pod jakim stopniem długości i szerokości geograficznej wypadnie tworzyć ruch harcerski. Jej to organizacja harcerska w Rosji głównie swój rozwój zawdzięcza, a my zawdzięczamy wspomniane książki, nad którymi obecnie zastanowimy się w kilku słowach. Na czoło oczywiście, bo „z wieku i z urzędu“ należy się jej ten zaszczyt, wysuwa się *Szkola harcerza S., Sedlaczka*; księga gruba w treść zasobna, i bardzo cenna. Wartość jej dla większości harcerzy i harcmistrzów polegać będzie na tem, że po wyczerpanym niestety zupełnie „Skautingu“ Malkowskiego, jest to pierwszy prawdziwy podręcznik harcerski, iż znajdą tam poprostu nieprzebrane mnóstwo materiału, choć w myśl przedmowy tylko kilka części wiedzy harcerskiej obejmuje.

Chciałbym zaznaczyć jedną cechę, może bardziej specjalnego charakteru. Oto podręcznik Baden Powella, który posłużył za podstawę „Szkole“ to było ujęte w głęboko obmyślany system wskazówki i rady człowieka, który sam przeżył, wypróbował i doświadczył. Dla chłopców więc co nic, albo prawie nic nie przeszli jeszcze sami (gdyż skauting angielski nie miał w tym czasie za sobą żadnych jeszcze doświadczeń) „Skauting for Boys“, jest jasny, jednolity w zamierzeniu i prosty w wykonaniu, jakby odlany z jednej sztuki, jest to wysnuta wprost z życia — teoria życia.

W „Szkole Harcerza“ teoria jest angielska, doświadczenie polskie bo w niej na podstawie Baden Powella legły nowe jeszcze warstwy doświadczeń i wniosków różnych kierowników harcerstwa polskiego, próby stworzenia systemów pracy i organizacji w Małopolsce, w Królestwie i na Rusi. Wskutek tego podręcznik, łącząc teorię systemu odrazu z praktycznymi jej wynikami u nas, czyni wrażenie mozaiki—to już nie jest skauting angielski w całej jego prostocie i jasności — to jeszcze nie jest harcerstwo polskie. I dlatego, nie przesądzając wielkich usług jakie oddać może naszej sprawie, patrzę nań, raczej jako na pewnego rodzaju encyklopedję harcerską, która zebrała i utrwaliła na swych kartach pewien okres „stawania się“ harcerstwa w Polsce.

Inaczej rzecz się ma z „Młodą Drużyną“ i „Gawędami Instruktorскими“ A. Pawelka.

Tam już Baden Powella ani śladu. „Kto tam jest—nie wiadomo“, albo raczej bardzo niewiele wiadomo. Dość, że kiedyś przyszła do Polski wieść, iż tam gdzieś na świecie gromady chłopców przywdziewają mundur o krótkich spodniach, biorą kij w rękę i idą żyć lepszym, pełniejszym życiem. A wtedy zastępy u nas zaczęły mnożyć się, jak grzyby po deszczu. I powiem wam cichutko, choć

wszyscy o tem wiecie, że wiedząc jaknajmniej o Baden Powellu i jego systemie, byliśmy jednak najbliżsi jego idei, byliśmy najprawdziwszymi skautami i tworzyliśmy intuicyjnie, rzeczy, o których dopiero później w lat kilka dowiadaliśmy się zdziwieni ze źródeł angielskich jak dalece były skautowe. Nie mamy może dotąd ujętego w całości polskiego harcerstwa, ale faktem jest, że zastępy nasze żyły od samego początku istnienia własnym głęboko polskim harcerskim życiem, znikąd nie naśladowanem. To życie właśnie tętni w książkach d-ha Pawelka; wynikające z codziennej praktyki tego życia dziesiątki zagadnień znajdują tam oświetlenie, jeśli nie ostatecznie przekonujące, to zawsze skłaniające do namysłu, powzięcia postanowienia; a jeśli można już dać jakiemuś działowi pracy choćby ogólne podstawy przepisów (jak ćwiczeniu harcerskiemu w „Młodej Drużynie“) to będą również wskazania, wyciągnięte z naszych własnych doświadczeń. Brak skojarzenia ich na tych samych kartach z angielskim pierwowzorem sprawia, że w zestawieniu ze „Szkołą Harcerza“ „Młoda Drużyna“ (przy wszelkich zastrzeżeniach co do rozmiarów pracy etc.) czyni wrażenie rzeczy znacznie bardziej jednolitej i bardziej do naszych warunków przystosowanej.

Sądze, że w „Harcistrzu“, który nareszcie zaczyna znowu wychodzić, będziemy jeszcze mieli sposobność do omówienia obszerniejszego spraw poszczególnych o które potracają „Gawędy Instruktorskie“. Omawiać je jako całość tutaj—to znaczyłoby zahaczyć wszystko, czem żyje nie tylko każdy instruktor harcerski, ale każdy dzielny i myślący Polak... Urywam przeto tutaj moje rozważania, ale na zakończenie, coś wam powiem: zdaje mi się że w każdej bibliotece drużyny powinna się znaleźć „Szkoła Harcerza“ w rękę każdego instruktora „Gawędy“, a każdego zastępowego „Młoda Drużyna“. To wamnie dopomogłoby nam przezwyciężyć ten bezwład, który zaczął jakgdyby lekko ogarniać naszą pracę teraz, właśnie w chwili gdy potrzeba, aby każdy z nas wyteżył wszystkie siły i całą dobrą wolę.

Z.

□□□□□□□□

Z życia harcerzy Wielkopolskich.

Dzień był pochmurny, mgła wisiała nad ziemią i ciężko mi było na duszy. Niebo pokryło się szarym obłokiem — a widokowi wtórował ponury plusk deszczu i poszum wichru północnego.

Godzina 1/2 7-mej wieczorem: deszcz ustał padać. Wyruszyłem na zbiórkę, gdzie już zastępowy ze swą gromadką mnie oczekiwał. Wesoło gwarząc, śmiejąc się i żartując, kroczyliśmy ku dworcowi.

W sali dworca było ludno i gwarno. Tragarze znosili kufry i pakunki. Na twarzach tłoczących się ludzi znać było zaniepokojenie i gorączkową niecierpliwość. — Przed okienkiem kasy tłok nie do opisania; mowy nie było przedostać się do niego. Szczęściem ukazały się opodal automaty biletowe, które usłużyły nam niebawem. Uzbrojeni w bilety, weszliśmy na peron. Rozgościliśmy się wszyscy w trzech wagonach kolejowych, i czekaliśmy.

Abfahrt! — powtórzono trzy razy. Pociąg — wyjechał z dworca, unosząc nas coraz szybciej.

Jazda trwała 21 minut.

Na dworcu, wśród bijącego w twarz deszczu, ustawiliśmy się i podążyliśmy ze śpiewem do obozu.

Już... już zbaczmy z drogi w las, jeszcze chwilę... chwilę jeszcze.

W tem znowu krwawy błysk, długi, migotliwy, pędzący falą zygakowatą. Żywiolowy ryk zawichrzył jęk wiatru i cały przestwór drżał. Upusty niebieskie otworzyły się. Deszcz pomieszany z gradem lunął jak z cebra; uderzył wiatr z taką siłą, że aż chojary pogięły się ku ziemi; las zaszedł mgłą, parą, alfami deszczu, drogi ani dostrzedz, a tu drzewa wiją się po ziemi, skrzypią.

Z zapartym oddechem, zbici w zwarte szyki, bez czucia wpadliśmy do obozu.

Już już—namioty! O sto kroków!

Jako zwierzyzna przed naganką pokryło się wszystko do namiotów. Mnie nie dano jednakże odetchnąć. Przypadł mi rozkaz obkopania jeszcze dwu namiotów, w ulewie największej, w błyskawicy najsrozszej. Z błogim spokojem wykopałem rowki, poczem, przemocnięty do nitki schroniłem się do namiotu.

Jak ptaki w sidłach miotali się wszyscy, jeden tulil się do drugiego. Ten, niby liść, drżał z zimna na całym cieple, ów, jak pajak zwinięty w kłębek, o mało nie wlaź mi do kieszeni, tamten dla fantazji godzinki odmawiał.

Rozpoczęły się żarty, fraszki, wspomnienia przygód.

Humor skautowy zdolny jest nawet niebo wypogodzić, to też rozjaśniło się ono nieco i zaczęło mrzyć wolniej.

Noc pochmurna osiadła nad ciemnym lasem, przycichł wicher rozszalały, na niebie i na ziemi ponuro i smutno i cicho było w ciemnym namiocie, jak w kościele.

Westchnąłem... Och, nie. Ja nie wytrzymam.

— Zimno mi, brrr... i nóg nigdzie schować nie mogę... Mój Boże, pewnie mój placek wieczorny w domu zjedzono, pieczeń przepadła, bo jutro będzie jutro, a dzisiaj, to już...

— Cicho bądź i śpij, rozkazał drużynowy.

Odmówiłem pacierze, przewróciłem się na drugi bok i zasnąłem.

Nazajutrz, gdy się przebudziłem, już dniało.

Chłopcy w marszu.



Zdjęcie, dokonane podczas wycieczki harcerzy wielkopolskich w dzień Zielonych Świątek ubiegłego roku. Jak wiadomo, w tym dniu nastąpiło rozwiązanie organizacji Harcerskiej w Wielkopolsce przez władze niemieckie. Rozwiązanie było tak nagłe, że chłopcy nic o nim nie wiedząc wyruszyli na wycieczkę, przez całe jej trwanie nie domyślając się tego, że to ostatnia wycieczka ich jawna.

Zwolna zawrzało życie w obozie. Nadchodziły ostatnie drużyny z Księstwa i Poznania. Padły rozkazy i hasła, widziałeś raporty, zbiórki, rozsypki, życie zawrzało jak w ulu.

Przyjemna mi noc, niech ją kaci wezmą—żalil się jakiś nowicjusz—nie znając przysłowia, że: kto rano późno wstaje, ten cały dzień jest śpiący.

— Ten się zna na rzeczy—pomyślałem sobie.

Drużynowy ustawił w dwurząd drużynę swą i w milczeniu czegoś oczekiwał. Równocześnie ukazał się dr. komendant, za nim niesiono ciemno-niebieski sztandar.

Po krótkim przemówieniu, wskazującym na symboliczne znaczenie sztandaru, druż. S. wręczył sztandar drużynie.

Na polance, nad wszystkimi zapanowała cisza...

Rozpoczęło się odśpiewanie „Roty“. Któż z nas nie zna tej pięknej a tak niezmiernie wzniosłej pieśni?

W uroczystym pochodzie wróciły sztandary do drużyn swych, stanęły jak orły na czele. Powróciliśmy z dumnie wzniesion skronią do swych namiotów.

Teraz kuchnie rozpoczęły swą pracę. Na ognie wstawiono garnki a Szczepan, słynny z swych zdolności, zabrał się do dzieła.

Po śniadaniu zdążyły drużyny w szyku pochodowym na mszę św.; długim szeregiem ciągnęły przez las śpiewając i gwizdząc. Minęły pierwsze domostwa w Kobylnicy, aż wreszcie „stój!“ zakomenderowano.

Wśród uroczystego skupienia wkroczyły sztandary do kaplicy, ustawiły się kolem i czekały.

Mszę św. i kazanie odprawił ks. A.

Była godzina popołudniowa, gdy drużyny wylały się znowu na spokojny podwórzec.

Po chwili głos trąbki zabrzmiał w oddali. Uniesiony na skrzydłach wiatru odbił się o uszy nasze i zginał echem coraz lżejszym, cichszym wśród ciągnących z wichrem chmur.

— Kto idzie?

— To nasi.

I weszli.

Pluton straży, do którego przydzielony zostałem, ruszył biegiem do obozu, rozstawił strażę, a reszta, szukając spoczynku, weszła do namiotów.

Pod główną bramą, nad którą widniał napis „Czuwaj“ przeciągnęły wszelkie drużyny.

Szły naprzód cztery drużyny bufca „Piast“. Tuż za nimi postępowała reszta drużyn poznańskich, jak „Poniatowski“, „Dąbrowski“, „Czarniecki“ i „Sobieski“. Szły dalej drużyny z Gniezna, Inowrocława, Środy, Śremu, Kościana, Czempinia i liczne reprezentacje drużyn z dalszych okolic Księstwa. Cała ta masa, pyszna i strojna, bardzo wesoło była usposobiona.

Na rozkaz: „rozejść się!“ wszystko w porządku rozeszło się do swych ognisk. Pierwszy szturm wytrzymać musiał kuchiarz. Pytany, co zbabrał na obiad, odparł złośliwie: „Pieczone żaby, a na deser, konfitury z pokrzyw“.

— Tobie się pewnie w głowie przewraca — mitygował go obrażony jakiś smakosz, zgorszony tym obiadem.

Nie będę tu opisywał mnogości rozmaitych zajęć po spożyciu obiadu, tych popisów ratowniczych, sanitarnych, w sygnalizacji, kucharstwie i śpiewie, bo nie mogłem brać udziału w tem tak wesołym życiu, lecz leżeć musiałem w strażniczym namiocie i kontrolować czaty i czuwać nad porządkiem.

Nadeszła wreszcie upragniona godzina ósma, godzina zmiany. Z wesołą miną pobiegłem do swoich. Napotykałem wszędzie rozbawione twarze, więc żal mnie uchwycił za nudnie przepędzony czas.

Na znak trąbki, drużyny wyszły na polankę, i rozdzielwszy się na dwie partje, wyruszyły na podchody.

Był zachód słońca, gdy wyszły, a ciemna już noc, gdy powróciły. Ciemno już było, w obozie oniska gasły. Szła noc. Cicho zebraliśmy się w półkole, podano znak—i żalony, błagalny śpiew uniósł się wśród nocy:

Boże Ojczy, Twoje dzieci
Placzą, żebrzą lepszej doli.
Rok po roku marnie leci,
My w niewoli, my w niewoli...

Gdy ostatnie akordy wśród nocnej skonały ciszey, rozległa się pieśń:

Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej
Do Ciebie Panie bije ten głos...
Skarga to straszna, jęk to ostatni,
Od takich modłów bieleje włos...
My już bez skargi nie znamy śpiewu,
Wieniec cierniowy wzrósł w naszą skroń,
Wiecznie jak pomnik Twojego gniewu
Sterczy ku Tobie, błagalna dłoń.

Błagalna dłoń, powtórzył las.

Cicho, jak cienie ustawiliśmy się w rząd.
„Baczność!“ „Spokojnie do namiotów, pacierz i spać“.
Cisza zaległa w obozie.

Rano, o ósmej zbudził mnie ruch w namiocie.
Cóż to?... Cóż się stało?... Wstać?... Och, jak, smacznie się spało... Hop na nogi... Raz, dwa, już na dworze.

Cudny powitał mnie poranek. Wysoko, na bezchmurnym niebie jakoby tarcz ognista ukazało się słońce.

Zaprowadziwszy porządek w obozie, namiotach, plecakach, uzbrojeni w mydła, ręczniki i szczoteczki do zębów, ruszyliśmy do mycia. Ścisk niemal panował około zbiornika wody i na kładce

przełożonej w poprzek mokradła. Przy żartach, figlach i psotach umyłem się i odświeżyłem, i z wesołym śpiewem wróciłem do obozu.

Po rozejściu się zabraliśmy się do śniadania. Po krótkim odpoczynku rozległ się głos trąbki, a drużyny stanęły do wymarszu na nabożeństwo. W tym samym porządku co wczoraj, poprzez pola i lasy z śpiewem na ustach ciągnęliśmy wązkim szlakiem do Kobylnicy. Spokojnie, w milczeniu weszły drużyny do kaplicy.

Uszu naszych doszedł głos dzwonka. Msza św. się rozpoczęła. I znowu śpiewał nam chór, przyczyniając się do podniesienia uroczystego nastroju.

Po skończeniu Mszy św. ksiądz wszedł na katedrę i przemówił do nas w słowach serdecznych. Mówił o wierności wobec Boga i połączonej z nią miłości Ojczyzny, nieustannem czuwaniem nad sobą o gotowości do walki nieustannej i wiernem spełnianiu zasad skautowych, opartych na zasadach chrześcijańskich — rycerskich.

Pokrzepiony na duszy, wyszedłem na świat wdzięcznej zachowując pamięci te piękne, serdeczne i tak porywające słowa. Ustawiliśmy się do pochodu i opuściliśmy gościnne mury zakładu, dążąc do obozu. Obiał nas las cienisty i rozległ się śpiew ochoczy, który powtarzały sosny stugębnem echem. W obozie rozległa się komenda: stój! [a po chwili: rozejść się. Spiesznie wróciłem w szranki z drużyną i z nieklamany apetytem zabrałem się do krupniku, podanego mi przez zastępowego.

Do śmierci nie zapomnę tego czarującego wrażenia, jakie sprawiła na mnie pierwsza łyżka tego krupniku. A ponieważ Homer zaprzętał mi głowę, więc przyszło mi na myśl, że jeśli bogi greckie jadły co na Olimpie, to chyba taki krupnik. Mniej już rozczulił mnie kawał wieprzowiny, który mi do garści dano, bo słony był i bardzo zgrzytał w nim piasek.

Nie mogę powiedzieć co dalej się działo, albowiem byłem zajęty musztrowaniem drużyny i zabawami. Gdy więc nadeszła godzina czwarta, zjedliśmy podwieczorek i zwinęliśmy obóz. W mig namioty rozebrano, pozwijano liny, zakopano rowki i wykopy dla kuchni, a mech odniesiono do lasu. W godzinę potem stała drużyna w pogotowiu. Ze sztandarem na czele wymaszerowała na środek obozu i połączyła się z innemi.

Niebawem padł rozkaz do pochodu. A podziękowawszy za gościnność państwa M... z „Bumcykiem“ wymaszerowaliśmy z obozu.

Poznań, w lipcu 1916 r.

A. Sz.

□□□□□□□□

Redaktor Konrad Chmielewski.

Vice-redaktor i sekretarz Alojzy Pawełek.

Druk. Jana Buriana, Warszawa Mazowiecka 11.

Klisze „Helios“ Warecka 12.

